

Omar Sosa Ceremony

2010 Skip Records
Dystrybucja: GiGi

Muzyka: ●●●●○
Realizacja: ●●●●○

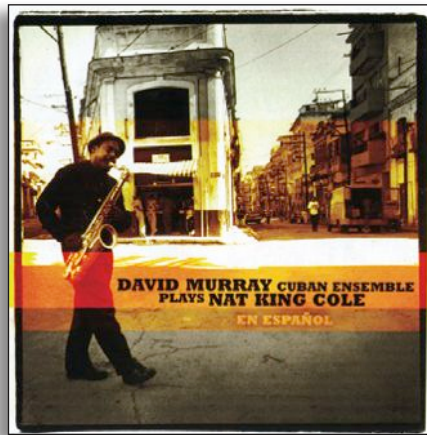
Omar Sosa, artysta doceniany na świecie (wspomnijmy choćby nominację do Grammy dla jego płyty „Sentir” z 2002 roku w kategorii „najlepszy album latinoamerykański”), doczekał się spełnienia swoich marzeń. Nagrać płytę z orkiestrą to naprawdę może być marzenie. A jeżeli to płyta we współpracy z hamburskim NDR Big Bandem i wiolonczelistą oraz aranżerem Jacquesem Morelenbaumem – to już w ogóle.

Do nagrania Sosa potrzebował dwóch sesji. Zdecydował się na wybór kompozycji z poprzednich albumów: „Spirit of the Roots”, „Bembon” i „Afrecanos”, poszerzony o dwa nowe utwory: „Llegada Con Elegba” i „Salida Con Elegba”, spinające całość klamrą. W ten sposób otrzymujemy „stare” w nowej szacie.

Bardzo przypadły mi do gustu te orkiestrowe liftingi. Ba, nawet bardziej niż oryginały. Stało się tak zapewne dlatego, że mam jakąś nie do pokonania słabość do dużych form jazzowych. Ale nawet gdyby nie ona, to i tak uznałbym, że zawartość „Ceremony” może nawrócić nawet tych, którzy w olśniewający talent Sosy dotąd nie wierzyli. Teraz mają okazję.

Dedykowana bandliderom sprzed lat: Chano Pozo, Rubenowi Gonzalezowi, Dizzy Gillespiemu czy Chucho Valdezowi, „Ceremony” to zdecydowanie dobra płyta. ■

Maciej Karłowski



David Murray Cuban Ensemble Plays Nat King Cole en Español

2010 3D Family
Dystrybucja: Universal

Muzyka: ●●●●●
Realizacja: ●●●●●

W 1958 i 1962 roku Nat King Cole nagrał dwie płyty – po hiszpańsku i portugalsku. Udało mu się to, choć w żadnym z tych języków nie znał ani słowa, a tekstów uczył się ze słuchu. Co więcej, płyty zyskały niezwykłą popularność w Ameryce Łacińskiej. Zresztą, jak mogło być inaczej, skoro wypełniły je po brzegi znane w tamtym regionie piosenki?

Po pół wieku po ten sam repertuar sięga David Murray. Chociaż „sięga” to może nie najbardziej fortunne słowo, skoro prace nad płytą zajęły podobno około dziesięciu lat. Biorąc pod uwagę płodność tego muzyka, informacja ta może dziwić. Nie dziwi natomiast, że do nagrań skompletował swój kubański ensemble.

O skali fascynacji tamtą muzyką niech zaświadczy fakt, że i tak duży skład jazzowy wzbogacił jeszcze sekcją smyczków.

Otrzymaliśmy bardzo smaczny kawałek jazzu. Kunsztownie zaaranżowany, w trochę ellingtonowskim stylu, zagrany rasowo i, co szczególnie, uroczo nawiązujący nastrojem do lat 50.

Nie potrafię na razie odpowiedzieć, czy jest to rzeczywiście w karierze Murrraya płyta tak przełomowa, jak ją opisują dziennikarze za oceanem, ale żadną miarą nie mogę odmówić temu graniu klasy i kunsztu. No i to wykonanie! Palce lizać! ■

Maciej Karłowski



Maciej Grzywacz Black Wine

2011 Black Wine Records
Dystrybucja: Fonografika

Muzyka: ●●●●●
Realizacja: ●●●●●

Jeśli ktoś nie wie, kim jest Maciej Grzywacz, to warto szybciej zaległość nadrobić i udać się na stronę internetową artysty. Poczytać, posłuchać, a następnie posypać głowę popiołem, obiecując poprawę. Później polecam dreszczyk emocji, odrobinę ryzyka i zakup płyty. Najlepiej od razu najnowszej, zatytułowanej „Black Wine”.

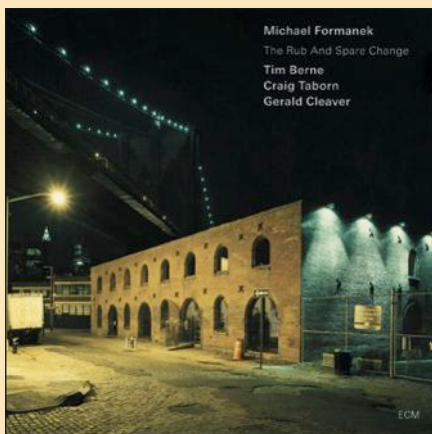
Na zachętę podpowiem, że Maciej to muzyk gruntownie wykształcony, legitymujący się dyplomami nie tylko polskich i nie tylko jazzowych uczelni. Do tej pory nagrał już kilka albumów.

„Black Wine” powstał we współpracy z sekcją rytmiczną, z którą chyba nie sposób nagrać słabej płyty. Są to: Yasushi Nakamura na kontrabasie (ex Benny Golson czy Wynton Marsalis) i Clarence Penn na perkusji. Gdybyście chcieli wymienić tylko najważniejszych muzyków, z którymi współpracował, zabrakłoby miejsca na dalszą część tekstu.

Nie ma co ukrywać, płyta podoba mi się bardzo; może nawet bardziej niż bardzo. Jest wybornie skomponowana i mistrzowsko zagrana. Zawiera też kilka tematów, które zapadają w pamięć, by wspomnieć choćby gitarowy „Brothers” czy tytułowy „Black Wine” (nie tylko dlatego, że rozgrywa się w dziwnym nieparzystym metrum).

Objętość recenzji jest ograniczona, więc skwituję lapidarnie: prawdziwie światowe granie! ■

Maciej Karłowski



Michael Formanek
The Rub And Spare Change

ECM 2010

Muzyka: ●●●●●
Realizacja: ●●●●●

Debiut (chyba nieco spóźniony) Michaela Formanka w wytwórni ECM. Ten znakomity basista i kompozytor od lat działa jako lider i członek różnych formacji. Kiedyś grał z Hubbardem, Liebmanem i Hershem. Obecnie jest kojarzony z awangardową sceną Nowego Jorku. Współpracuje z muzykami tej klasy co Dave Douglas, Uri Caine, Jim Black, Mark Feldman czy saksofonista Tim Berne, zaproszony do nagrania tej płyty.

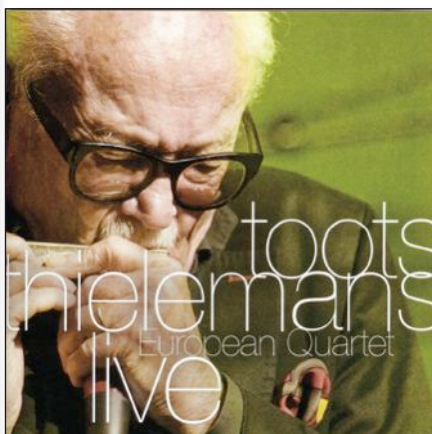
Składają się na nią wyłącznie kompozycje Formanka, który potwierdza swoją klasę oryginalnego twórcy, posiadającego własny styl, wrażliwość i szerokie horyzonty.

W „The Rub And Spare Change” uwagę zwracają świetnie skrojone tematy z krótkimi, powtarzanymi motywami prowadzonymi unisono lub w dysonujących interwałach. Obsesyjna niemal repetytywność, zmienne metra, typ akcentuacji i swoista kanciastość melodyki budzą czasem – jak w utworze tytułowym – skojarzenia z muzyką Monka. Forma jest traktowana dość swobodnie, a lider pozostawia sporo wolności pozostałym wykonawcom.

W zespole wyróżniają się Berne oraz pianista Craig Taborn (znany m.in. ze współpracy z zespołem Roscoe Mitchella). Ten ostatni potrafi stworzyć i impresjonistyczną mgłę, i mocne, wibrujące tła dla solówek alcyści.

Stylistycznie album Formanka sytuuje się gdzieś na styku nowoczesnego jazzu akustycznego i nieortodoksyjnego, przyjaznego w odbiorze free. ■

Bogdan Chmura



Toots Thielemans
Live

Challenge Jazz 2010

Dystrybucja: Multikulti

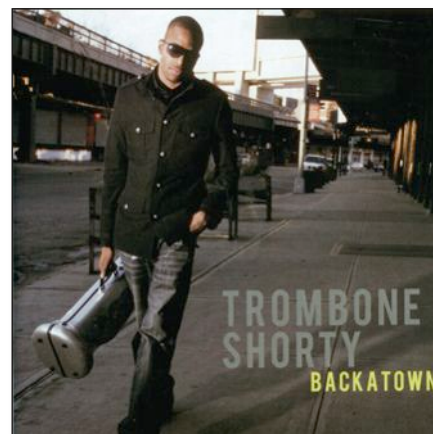
Muzyka: ●●●●●
Realizacja: ●●●●●

Thielemans to legenda jazzu. Grał z największymi, a jego „śpiewającą” harmonijkę ustną znają wszyscy. Firma Hohner umieściła nawet w swoim katalogu organki sygnowane przez Thielemansa ze względu na ich „aksamitny ton”. Bo taki właśnie dominuje na płytach artysty. Odnajdujemy go także w koncertowych nagraniach z lat 2006-2008, które znalazły się na omawianej płycie.

Liderowi towarzyszy europejskie trio, złożone z Karela Boehlee (fortepian, syntezator), Hansa van Oosterhouta (perkusja) i Heina Van de Geyna (bas). To właśnie ten ostatni, zarazem producent płyty, wpadł na pomysł, by z archiwum ich wspólnych nagrań koncertowych wybrać 12 najlepszych i je opublikować. Program otwiera „I Loves Yo, Porgy”. Później jest kilka standardów jazzowych oraz przebojów muzyki rozrywkowej, jak choćby „Ne Me Quitte Pas” Jacques’a Brela. Nie zabrakło też motywu filmowego Johna Barry’ego z obrazu „Nocny kowboj”. Ten ostatni należy do wyróżniających się popisów Thielemansa. Również solo na kontrabasie w wykonaniu Heina Van de Geyna jest w tym utworze wyjątkowo udane. Najslabiej wypadła kompozycja „Summertime”. Muzycy narzucili zbyt szybkie tempo. Ale może to tylko moje subiektywne odczucie, bo przed wersją Thielemansa słuchałem „Summertime” w wykonaniu Janis Joplin z festiwalu w Woodstock, a jej interpretacja jest trudna do pobicia.

W sumie - miła w odbiorze płyta koncertowa dla miłośników brzmienia harmonijki ustnej w mistrzowskim wydaniu. ■

Grzegorz Walenda



Trombone Shorty
Backatown

Verve Forecast 2010

Dystrybucja: Universal Music

Muzyka: ●●●●○
Realizacja: ●●●●○

Płytę firmuje Trombone Shorty, czyli Niski Puzonista. Pod tym pseudonimem ukrywa się – choć może niezbyt dobrze, bo jego prawdziwe nazwisko łatwo znaleźć w książeczce dołączonej do kompaktu – Troy Andrews.

Jego styl nie jest łatwy do zdefiniowania. Niby gra na jazzowym instrumencie, ale w utworach słychać zarówno funk – może nawet czasami dominujący – oraz elementy hip-hopu i rhythm and bluesa. Jako lider Andrews z instrumentalisty przemienia się w wokalistę. Wtedy pojawia się nuta soulowa.

„Fallin” jest tego doskonałym przykładem. Wreszcie tu i ówdzie (m.in. w „Right To Complain” i „Suburbia”) słyszymy ostre gitarowe akordy, które wprawdzie nie są zasługą Shorty’ego, a towarzyszącego mu Pete’a Murano, za to bohater płyty przyznaje, że jest ich fanem. W „Something Beautiful” może mało jest rocka, za to gościnnie gitarowe solówki gra Lenny Kravitz, któremu Trombone Shorty towarzyszył w trasie koncertowej. Znany rockman śpiewa też w tym utworze w chórkach.

Omawiając „Backatown”, nie można zapomnieć o szalonym rytmie, pulsującym gorąco w licznych fragmentach (np. „Neph”). Po prostu jazzujący funk-rock z wykopem. ■

Grzegorz Walenda